

Krzysztof J. Kwiatkowski  
NAUCZYCIELE WALCZĄ O PRZETRWANIE

- *Dużo mamy bezpańskich dzieci. Niektóre mieszkają stale z własnymi rodzicami...*
- *Wiele dzieci miało przyjaciół i życiowych przewodników, którzy czynili ich charaktery wiotkimi, niestabilnymi i nastawionymi na ciągłą obronę, albo pokornymi aż do bólu. Dzieci te często nie rozumieją nadawanych innych sygnałów, niż te, do których przywykły.*
- *Wielu wychowawców zaczyna pracę z podopiecznym od uzyskania objawów posłuszeństwa. Zwłaszcza pilnują nietrzymania przez nich rąk w kieszeniach podczas rozmowy.*
- *Uczniowie dźwigają czasem nieprawdopodobnie ciężki bagaż doświadczeń jak na ich wiek. Długo trzeba pracować nad zdobyciem ich zaufania...*

Kiedy pisałem te słowa podano w radiu komunikat, że w Belgii nauczyciele proszą o obronę przed uczniami. Film „Klasa 1984” Marka Lestera powstał dość wcześnie, by problem sygnalizować i/lub go wykreować. W Polsce rozdział między szkołą a uczniem jest już ogromny i ma tendencje do powiększania się.

Jeśli już mowa o tendencjach, to błędem byłoby zapomnieć o tym, że wszelkie biurokracje (do nich należy i szkolnictwo) załatwiają wszystko według swych niereformowalnych schematów i bezdusznie. Doświadczyłem na własnej skórze, że wszelkie nowatorstwo czy przejaw wrażliwości są źle widziane. Inicjowanie autorskich programów budziło niechęć. Zachęcanie do współdziałania wpędzało innych w zakłopotanie. Nawet odpowiem ‘dlaczego’ – bo dla wszelkich nauczycielskich nieudaczników, a jest ich większość, byłby to bardzo niekorzystny wzorzec. Zmuszeni by byli działać według niego, czyli skierować swe wysiłki na edukację uczniów, a nie na podobanie się władzom czy własną wygodę. Zatem – według nich – czy nie lepiej, aby wszystko zostało po staremu...?

Jaki z tego wniosek? Przestańmy myśleć o tym, że cokolwiek będzie się robić z głową w sprawach edukacji. Wszystko będzie fikcją i markowaniem pracy, czyli zamiast systemowych rozwiązań, wkrótce na korytarzach rozlepi się ulotki: „DZIECI, BĄDŹCIE DOBRE DLA SWYCH NAUCZYCIELI”. Kiedyś tak właśnie edukowano naród dla potrzeb kultury zdrowotnej, zamiast dawania dobrego przykładu choćby przez utrzymywanie szaleństw w czystości. Ja mam na to swoje własne powiedzenie: „*Brudną dupę trzeba umyć, a nie pudrować!*” (*excusez moi* wulgaryzm) ...

Dlaczego tak? I co dalej?

W styczniu 2006 roku, w dodatku Gazety Wyborczej „*Studiuj z Gazetą*”, opisano poziom zainteresowania studiami wyższymi. Jedną z konkluzji jest ewidentnie jasna – pedagogika uważana jest za kierunek, który jest mało męczący, a dający łatwe i przyjemne ‘mgr’ przed nazwiskiem: „*Eksperci uważają, że dla wielu absolwentów pedagogika jest ostatnią deską ratunku. Jeśli nie dostają się na inne kierunki, to rozpoczynają studia pedagogiczne. Tym bardziej, że wymagania na te studia są mniejsze*” (pogrubienie moje – KJK). Problem w tym, że i „opcja nauczycielska” tzw. kierunków przedmiotowych ma opinię gromadzącej same miernoty. Nie ma w tym za wiele optymizmu. Innymi słowy przysłowiową „naszą przyszłością”, czyli edukacją i wychowaniem młodych ludzi, zajmować się będą ludzie o małych ambicjach, niezbyt pracowici, bez wyobraźni, ale za to z kompleksami, zaburzeniami emocjonalnymi oraz mający podstawowe problemy w komunikacji z innymi

ludźmi (wyniki prywatnych badań z 1998 roku – w skali globalnej dotyczy to 78,3% badanych studentów tego kierunku).

Reforma edukacji narodowej za ministra Handke zajęła się głównie troską o zarobki wydawców podręczników szkolnych tworząc możliwości wydawania niezliczonej ilości wariantów „matematyk kl. V” czy „historii Polski”. Przy okazji powstała niezliczona ilość koszmarek „ludzkiej myśli”. W tym samym czasie zadbano o losy tych, którzy mogli brać spore pieniądze za organizowanie wszelkiej maści kursów dla nauczycieli mających ochotę na awans zawodowy. A okazja była niezła – za cenę paru nieistotnych kursów i sporządzenia spisów własnych (choć skrzętnie zebranych od kolegów) spektakularnych działań na polu wychowania i edukacji – można było uzyskać większą pensję i udawać, że ma się wyższy statut zawodowy. Rzecz okazała się opłacalna nawet wtedy, gdy okazało się, że państwo oszukało brać nauczycielską dając zupełnie inne (znacznie mniejsze) zróżnicowania pensji, niż to było obiecywane. Nie było jednak żadnych obiekcji – polscy edukatorzy mieli wystarczająco mało charakteru i ambicji (jak wspomniano wyżej), by o tym myśleć.

U nauczyciela przecież ponoć istnieje (lub istnieć powinien) zamiar dokonywania przemiany pewnych sfer rzeczywistości. A jest to wymóg i wyznacznik bycia wychowawcą. Oczywiście przemiana ma się dokonywać w sferze kontaktów i zależności pomiędzy ludźmi. I tymi starymi i młodymi ludźmi, tymi będącymi dorosłymi i będącymi dziećmi, między tymi panującymi nad życiem i tymi wchodzącymi w życie. **Najlepszy, najmocniejszy kontakt nauczyciela, i zarazem jego najsilniejszy wpływ... odnoszą się do niego samego.** Z natury rzeczy. Jak u każdego człowieka. Będąc więc samemu tym kimś, kto ma wpływać na losy świata, winien używać swych możliwości i wpływów, aby stać się super-narzędziem. Radzającym sobie z zadaniami...

Coś, co zawsze chcę powiedzieć w sprawie bycia nauczycielem-wychowawcą: **nie powinno się dokonywać takiego wyboru bezmyślnie lub też kierując się mrzonkami.** Powinno się też mieć odwagę by zrezygnować z dalszego wychowywania, gdy wszystko wskazuje na to, że się jest złym pedagogiem. Bo co by nie powiedzieć, to nie dzieci są gorsze – to my...

Jeśli uznajemy, że kształtowanie dziecięcej osobowości należy oddawać w ręce osób, które staną się dla wychowanków przewodnikami po życiu, to nie możemy wyrzec się myśli, że **przewodnik jest kimś, za kim chce się pójść.** I nie jestem pewien, czy przypadkiem nie jest tutaj to najważniejsza myśl. Warto sobie przypomnieć: jakże często rezygnowało się z towarzystwa kogoś, kto – mimo swej olbrzymiej wiedzy – był człowiekiem odrażającym, niegodnym zaufania lub mizernym moralnie; jakże często siadało się obok osoby prostej i naiwnej, która emanowała ciepłem i dobrocią...

Warunkiem przyjęcia w poczet pedagogów powinno być posiadanie **osobowości zdolnej do przyjęcia na swe barki wszelkich słabości osobowości sobie powierzonych.** Oznacza to, że chodzi o człowieka w jakiś sposób dojrzałego. Dojrzałość jest aktywnym stanem, który można określić przy pomocy kilku przymiotników. Wydaje się, że to czasem inni orzekają o nas, czy jesteśmy już dojrzałymi. Czasem orzekają czyny, których – bywa – nikt nie dostrzega. Sądzę, że dojrzałość jest jednak określana w jakiś nieuchwytny sposób, a jej miernikiem jest samo życie. Jest to bardzo nienaukowe stwierdzenie. Wiem o tym i boleję nad tym, zwłaszcza, że przecież poziom dojrzałości powinno stanowić jedno z kryteriów przydatności do pełnienia roli pedagoga. Myślę, że należałoby w tym celu ustalić kryteria osobistych doświadczeń i sposobu kontaktowania się z innymi, kryteria światopoglądu oraz posiadanej wiedzy potrzebnych do tego, by móc kształtować innych ludzi. Cały problem w tym,

że należy wreszcie zauważyć (pisałem to wyżej), iż istota-człowiek ma *de facto* większą władzę nad samym sobą, niż nad swoim zewnętrzem. Ma samego siebie najbardziej „pod ręką”; komunikaty całego organizmu, a mózgu w szczególności, są najłatwiej osiągalnymi i najlepiej zrozumiałymi komunikatami. Stąd wynika, że własne myślenie, własne potrzeby, własne działanie i własne wizje świata są **najbliższą rzeczywistością** dla każdej jednostki. Jednocześnie kandydaci na nauczycieli i wychowawców nie są kształceni w tym zakresie. A przecież nierzadko nie potrafią opisać własnych stanów emocjonalnych...

Wiedza psychologiczna i pedagogiczna, psychofizjologiczna i prakseologiczna – mówią bardzo dokładnie o właściwościach rzeczywistości opisywanej przez siebie. Dla każdego człowieka rzeczą oczywistą jest ostrzeżenie: „nie rzucaj szklanym naczyniem o ziemię!” Dla nauczyciela jednak nie jest oczywistym, że negatywne emocje potrafią rujnować kontakt wychowawczy. Polska szkoła przecież ma własne problemy. Ministerstwo edukacji, sejm – tak samo. Dlatego ktoś tam może sobie rzucić hasło, aby nie było jakichś „*durnych godzin lekcyjnych mających 45 minut*”, tylko mają być 60-minutowe, jak Pan Bóg przykazał. I tak wychodzi, że ani wiek rozwojowy, ani prawidłowości koncentracji uwagi oraz czas potrzebny do regeneracji – już mają nie mieć znaczenia.

Ten sposób widzenia szerzy się i na inne dziedziny życia. Znam pewnego dziekana wyższej uczelni, który uznał, że jego wydział będzie zajmował się wyłącznie PEDAGOGIKĄ TEORETYCZNĄ. Czyli wszystkie procesy rozumowania będą się odbywały w zaciszu pracowni. Idąc śladem tego rozumowania – pedagogika może spokojnie zająć się w takim razie pingwinami. A już za czasów mojego studiowania mówiło się bez ogródek, że teoria swoje, a praktyka – swoje.

Tymczasem rozwój osobowy wymaga dużej aktywności, potrzeby eksploracyjnych i charyzmatycznego przywództwa. Otóż i cecha młodości.

- Można wyobrazić sobie sytuację, że komuś kazano iść na wycieczkę w zbyt ciasnych butach. Czy interwencja, aby iść szybciej, będzie faktycznie pomocna? Czy połajanki są skuteczne wobec niewydolności, niemożności, przymusu o odwrotnym kierunku...?
- Przekonywanie do tego, aby całym sercem i całą duszą zgłębiać wiedzę na temat miłości, bo miłość jest wspianiała, i jeżeli ktoś zechce uważać inaczej, to dostanie linijką po łapach – jest zdarzeniem budującym?
- Dostarczanie swobody (przez własną niemoc, nieudolność, obojętność) i jeszcze do tego gwarantowanie bezpieczne zeń korzystania (dla nauczycielskiej wygody lub poczucia bezpieczeństwa) – jest do wykorzystania dla młodych, niedoświadczonych a żądnych panowania nad światem (jak u każdego dojrzewającego nastolatka na przestrzeni wieków)?
- Przy korzystaniu z danej swobody znalazł się inny nauczyciel, komu ta swoboda się nie podoba i... sięgnął łapą za kołnierz, walnął, kopnął, pacnął, szturchnął, wrzasnął, zrobił awanturę i nawet nie dał dojść do głosu – ma to znaczenie, że ten, do którego miał najbliżej, akurat niczego złego nie robił? Albo nawet i robił, ale jest mizerny, drobny, nieśmiały – zupełnie nie tak, jak buńczuczny i bezczelny prowodyr zajęcia, którego lepiej nie zaczepiać?

Pewna pani z doktoratem powiedziała do mnie, że słyszała od studentów, iż moje zajęcia są miłe i oni je lubią. Odrzekłem, że mam nadzieję, że jej zajęcia również cieszą się powodzeniem. Spojrzała na mnie jakbym niczego nie rozumiał: „*O nie, wystarczą im jedne takie zajęcia...*”. Zrozumiałem! Jeżeli coś jest miłe i można to lubić, to jest mało warte i żaden

z tego pożytek. I tu mnie olśniło... Wszak od lat śledziłem nauczycielskie postawy magicznie związane jakby z jakimś fatum, jakimś porzekadłem czy przesądem – „*Lepiej być ostatnią żoną, niż im się dać!*”

Zaraz potem belfrom przychodzą w sukurs określenia, że surowych nauczycieli pamięta się lepiej i że u nich można więcej się nauczyć. Szkoda, że nikt nie podaje definicji „surowego nauczyciela”, bo w moim życiu za takich właśnie miało się paru niezłych chamów zajętych na lekcji swoimi sprawami, a nie nauczaniem kogokolwiek. A może oni bronili się przed klątwą „Obyś cudze dzieci uczył!”...? Nawet dziś widziałem takiego nauczyciela, który milcząc i patrząc w ziemię przebijał się między uczniami stojącymi w wąskim korytarzu – żadnego kontaktu, żadnego uśmiechu, jedynie lęk i nienawiść...

Żeby nie być gołosłownym... Nauczyciele w ogromnej części, **w znaczącej części**, są podobni do pani nauczycielki z reklamy, która tak oburzyła nauczycielskie związki zawodowe – wrzeszczącej, nieopanowanej, osaczonej przez zniechęcony dziecięcy żywioł. Nauczyciele faktycznie znajdują się w defensywie. Wielu nauczycieli udaje, że nie widzi, co się dzieje. Wielu unika interwencji, wielu „rżnie głupa”. Dają tym samym wolną rękę dzieciom. Gdy się widzi, iż nauczyciel jest głuchy i ślepy, chociaż to co się dzieje każdy inny widzi i słyszy, to najlepszy sygnał do używania wolności. No i dzika wolność się szerzy. Nic dziwnego, że nauczyciele bronią swojej... pozycji. Obrona może jednak polegać wcale nie na wzięciu kija do ręki i wywieszenia na ścianie spisu kar, które od dziś z czystym sumieniem mogą stosować. Bo właśnie kary są jedynym pomysłem nauczycieli i wszystkich, którzy się problemem zajmują. Kraina bata! Ze strachu...

Jeśli nauczyciele zechcieli zerknąć do zacnej pozycji „*Skuteczność kar w wychowaniu*” S. Miki, niewątpliwie zorientowaliby się, że to, co uważają za obronę i jedyne skuteczne narzędzie wpływu na ucznia, jest ich zgubą i gwoździem do trumny. Krzyk i wieczne karanie nie wzbudzają poczucia wstydu. Nie powodują, że ktokolwiek czuje się winnym, jeśli widowisko kreowane przez rozszalonego nauczyciela przysłania sedno sprawy. Wykrzywione w krzyku usta i tryskająca ślina, czerwieniejące oczy, niekontrolowane gesty, czasem przykry zapach z ust – powodują wirtualny transfer nauczyciela z pozycji autorytetu (nawet choćby odgórnie ustanowionego, ale jednak) na pozycję „dziwadła”. Zachowania nie licujące z godnością osobistą, złośliwość i obrażanie, niesprawiedliwość, zawziętość – czynią wrogów. Zresztą nauczyciele i uczniowie nader często zachowują się wobec siebie jak kibice konkurujących klubów piłkarskich, często – jak „kibole”.

**Stosujemy pedagogikę negatywną. Nauczyciele i wychowawcy aktywizują się dopiero wtedy, gdy jest problem.** Kiedy źle się dzieje, podnoszą się z krzesła i... załatwiają problem. Nie uczą, nie wychowują, nie tłumaczą, nie rozsądają... „Załatwiają problem”. I to wcale nie ku pożytkowi ogólnemu, ale byleby nie mieli kłopotów. Do wyjątków należą ci nauczyciele, którzy FAKTYCZNIE zauważają w swojej klasie ucznia przeciętnego. Taki uczeń nie jest widoczny, bo nie przeszkadza. Nie istnieje także dlatego, że nie jest kandydatem na olimpijczyka lub/i nie prowadzi ciekawych (zabawnych) dyskusji. Proszę mi wskazać, kiedy to jakieś szkolne gremium zdecydowało się na przeniesienie ucznia do innej klasy, pod opiekę innego nauczyciela – nie za karę, ale dla faktycznego ułatwienia dziecku adaptacji? Żeby dziecko „nie musiało wędrować cały czas w zbyt ciasnych butach”.

Sterowanie tzw. porządkiem w klasie i szkole nie jest sprawą trudną, jeżeli tylko istnieje kontakt wychowawczy między dorosłym a dziećmi. Groźby i wrzaski – to brak kontaktu. Tak zwane „złe zachowania” są nieodrodną cechą dzieciństwa i właśnie proces

wychowawczy ma prowadzić do tego, by przestały być problemem. To jest sprawa nauczyciela i nie istnieje żadna przesłanka, że ma on wchodzić do już „urobionej” klasy. On MUSI umieć sobie radzić, i to na sposób wychowawczy. Będzie umiał, kiedy edukacja nauczycieli nie będzie pedagogiką teoretyczną. Bo inaczej jest, gdy obowiązują uczciwe reguły gry...

Pozytywny kontakt z uczniem nie jest zwykłym powiedzeniem „Cześć!” i poczęstowaniem papierosem, nie jest bezmyślnym kumpłowaniem się (choć wyraźnie zaznaczam: w kumpłowaniu się nie ma nic zdrożnego, jeśli za tym stoi charyzma i szacunek), nie jest wreszcie kontaktem dla kontaktu. Psychologia społeczna wykazała, że na to, czy ktoś zechce od kogoś skorzystać z informacji, ma wpływ chociażby wygląd tzw. nadawcy. Doświadczenie ujawniło, że przeciętni ludzie chętniej pytają o drogę kogoś, kto jest czysto i elegancko ubrany, niż zaniedbanego włóczęgę, gdyż **jest on bardziej wiarygodny**. Wychowankowie mają obiektywnie większe szanse rozwoju, gdy przewodzi im wychowawca z autorytetem. Nie tylko dlatego, że jest on pewnymi cechami bliższy temu, kogo chętniej pyta się o drogę. Autorytet nauczyciela-wychowawcy ma dodatkowo silne znaczenie społeczne. Grupa wychowawcza czy klasa ma silniejsze poczucie własnej wartości mając wychowawcę cieszącego się autorytetem. Grupa, która ma nielubianego wychowawcę – traci. Wychowawcy, którzy tego nie wiedzą, zwłaszcza ci zapatrzeni w siebie i uważający, że są stworzeni tylko do tego, aby inni ich słuchali – nieustannie sami na tym tracą, a ponadto, wcale tego nie wiedząc, osłabiają znaczenie całego klanu nauczycielskiego. Działa w tym przypadku mechanizm generalizacji.

Są też nauczyciele stłamszeni. Dawno zapomnieli o wiodących ich przez życie posiadanych ideałach. Wrzuceni przez los między młot i kowadło lawirują między robieniem dobrze dyrekcji a byciem w porządku wobec wychowanków. Stłamszony nauczyciel często rozumie i stara się. Ratuje swą stłamszoną pozycję – bezskutecznie. Uczniowie sekują go, bo to wstyd być posłusznym i ulegać Nijakości i Słabości. Spytałem kiedyś moich własnych wychowanków: „*Czy dobrze byście się czuli wiedząc, że macie wychowawcę-ciapę?*” Zgodnym chórem orzekli, że nawet w głowach im się to nie mieści. I nie kwestionowali faktu, iż przymuszam ich, nie zezwalam, zakazuję, przeciwstawiam się.

Trzeba więc zdawać sobie sprawę z istnienia tej, skomplikowanej w sumie, drogi porozumienia z innymi ludźmi, z wychowankami, z tymi, którzy wcale nie mają obowiązku rozumieć naszych słów i naszych intencji. Jeśli zaistnieje konieczność, by komunikacja była podstawową czynnością, którą będziemy wykonywać dla wywierania wpływu na innych, wówczas okaże się, że sama prosta umiejętność sprawnego komunikowania się będzie mało wystarczająca. Bowiemy będzie trzeba dokonywać wyboru tych, którzy winni nas usłyszeć, będziemy musieli dokonywać wyboru treści i środków ich przekazu. Sztuczki wzięte z kursów komunikacji i asertywności dla zdobycia kolejnego stopnia awansu zawodowego – pozostają jedynie sztuczkami, kiedy w kontakcie brak spontaniczności i szczerości. Ot, jak wyszczerzony uśmiech z amerykańskiego filmu – od samego początku sztuczny i bezwartościowy.

Aby wszystkiemu podołać, trzeba dysponować **pełną inteligencją**, czyli nie tylko operatywną, ale i emocjonalną, empatyczną. Wiedza, ważna oczywiście, sama nie wystarcza (choć tak się wydaje tym, którzy szkolą innych na pedagogów i uważają, że wystarcza posiadać papierek) – trzeba jeszcze posiadać tę iskrę bożą, by w lot wychwytywać znaczenia, powiązania, zależności oraz możliwe rozwiązania zjawisk.

Do tego trzeba posiadać **moc sprawczą**, daru wpływania na wydarzenia, umiejętności podejmowania decyzji, umiejętności bycia odważnym, dzielnym – w tym starożytnym, platońskim znaczeniu.

Do tego trzeba **mieć cośkolwiek do powiedzenia**, coś, co ma wartość dla innych; mieć coś, co się samemu chce dać, a inni CHCĄ to wziąć. Trzeba mieć wyrazisty, a nie jałowy charakter. Ekspresyjny, ale nie agresywny.

Do tego trzeba **charyzmy**, owego specyficznego brzmienia wypowiedzianych słów, słów dobieranych naprawdę starannie, ze znajomością rzeczy. Charyzmy, a więc i wyjątkowego błysku w oku. A więc drygu do bycia przywódcą. A więc wizji celu, do którego poprowadzi się innych...

Do tego trzeba tego niepowtarzalnego **ciepła**, podawanego innym bez ociągania – także tym plugawym, parszywym i owrzodziałym czy cuchnącym ludziom, dzieciom...!

Do tego trzeba być **odpornym na zmęczenie psychiczne**, na nudną powtarzalność sytuacji, na ciągły brak oczekiwanych efektów, na otrzymywanie ciosów zadawanych na oślep w samo nasze jestestwo, na fałsz, konformizm i głupotę...

Do tego konieczne jest umieć **być szczerym** i umieć przyznawać się do błędów...

Do tego konieczne jest **być spontanicznym i prawdziwym**...

Do tego konieczne jest **być aktorem**...

Konieczne jest **BYĆ** – a nie sądzić, że się jest.

Nauczyciel-wychowawca najczęściej komunikuje się werbalnie, posługując się naturalną i ulotną mową. Może wzbogacać swoje komunikacyjne techniki korzystając z urządzeń audiowizualnych, a więc stosując środki trwałe, werbalne i niewerbalne. Może przyzwyczać swoich podopiecznych do całkowicie niewerbalnego „języka ciała”, a więc do gestów i mimiki, *timbre'u* i tonu, a więc „ruchu głosu”. Cały problem polega na tym, by nadawane sygnały (komunikaty, przekazy) były **odbierane** oraz **rozumiane** zgodnie z intencjami nadawcy, a następnie **akceptowane**, jeśli mają spełniać przewidziane zadania wychowawcze. Nie mają służyć do okopywania się, szukania wsparcia, pacyfikowania, gnębienia, osaczania...

Tutaj dochodzimy do następujących problemów:

- CO TRZEBA CZYNIĆ, BY NADAWANE PRZEKAZY BYŁY ODBIERANE? Należy wzbudzić w ich odbiorcach potrzebę odbioru. Potrzeba pobudzić motywacje ukazując problem interesująco, tworząc zagadkę, niespodziankę, wspólnotę... W przeciwnym razie będziecie „mówili do ściany”.

- CO TRZEBA CZYNIĆ, ABY PRZEKAZY BYŁY ROZUMIANE? Należy dbać o odpowiedni (dla odbiorcy, a także dla konkretnego przekazu) dobór środków: głównych nośników przekazu (np. słów), przydawanych temu emocji oraz sygnałów towarzyszących (np. gestów czy mimiki).
- CO CZYNIĆ, BY PRZEKAZY BYŁY AKCEPTOWANE?